



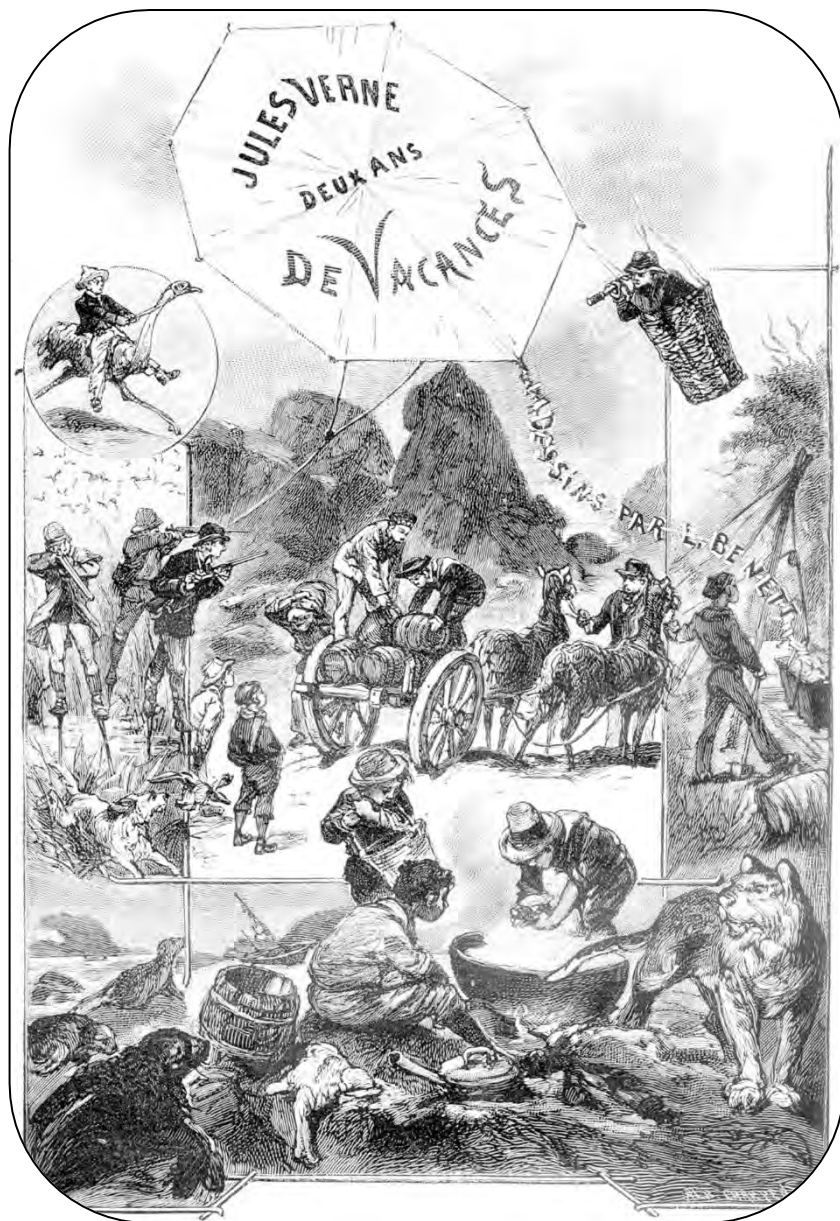
Juliusz Verne

Dwa lata wakacji (Część pierwsza)



ISBN 978-83-66980-29-7 (całość)

ISBN 978-83-66980-30-3 (cz. 1)



Juliusz Verne

DWA LATA WAKACJI

Juliusz Verne



DWA LATA WAKACJI

Tom 1

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sto pierwsza publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Deux ans de vacances

© Copyright for the Polish translation
by Andrzej Zydorczak, 2022

92 ilustracje, w tym 12 kart tablicowych kolorowych i 1 mapka:
Léon Benett; (zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2022

ISBN 978-83-66980-29-7 (całość)
ISBN 978-83-66980-30-3 (tom 1)

Wstęp

Powiedzenie, że Juliusz Verne pasjonował się robinsonadami jest truizmem. Można o tym przeczytać w różnych książkach i artykułach poświęconych jego życiu i twórczości. Każdy, kto dobrze zna twórczość Czarodzieja z Nantes z łatwością zauważy, że do motywu rozbitków na bezludnej wyspie powracał on doń dość często i twórczo go przetwarzał.

Jedną z powieści, którą w całości oparł na tym schemacie są „Dwa lata wakacji”. Książkę tę Verne pisał w trudnym dlań okresie życia – po serii pożegnań z bliskimi, którzy odeszli oraz w cierpieniu po zamachu, w wyniku którego został do końca życia kaleką. Opowieść o grupie dzieci, które w wyniku niefortunnego zdarzenia uwięzione zostają na opustoszałej wyspie i radzą sobie z różnymi trudnościami była więc swego rodzaju pocieszeniem, powrotem do chłopięcych lat, gdy mały Julek z wypiekami na twarzy zaczytywał się w „Robinsonie szwajcarskim” Johanna Wyssa.

Powieść o „internacie Robinsonów”, jak pisał we wstępie do niej sam Verne, ukazała się w 1888 r. Najpierw, tradycyjnie, publikowana była na łamach „Magasin d'Éducation et de Récréation” (od 1 stycznia do 15 grudnia). Jeszcze przed ukończeniem prasowego serialu wyszła w postaci dwóch tomów bez ilustracji (w czerwcu i listopadzie) i zaraz po tym (także w listopadzie) trafiła do księgarń jako okazała „cegła” z 91 rycinami Léona Benetta.

W przeciwieństwie do wielu innych dzieł autora „Niezwykłych Podróż”, „Dwa lata wakacji” musiały czekać na polski przekład bardzo długo. Ukazał się on po raz pierwszy dopiero w 1956 roku nakładem Naszej Księgarni. Przygotowała go Izabella Rogozińska, która nieco wcześniej przetłumaczyła też „Dzieci kapitana Granta”, a później spolszczyła „Rozbitka z «Cynthii»”.

Przekład Rogozińskiej miał w sumie siedem wydań, a po nim polscy czytelnicy otrzymali „Dwa lata wakacji” w tłumaczeniu Janusza Kaszy, które doczekało się pięciu edycji. Przyszła wreszcie pora na trzecią wersję, Andrzeja Zydorczaka – najpełniejszą i opatrzoną skrupulatnymi przypisami, a także, co oczywiste w przypadku serii „Biblioteka Andrzeja”, zawierającą komplet oryginalnych ilustracji z XIX wieku.

Na koniec pozwolę sobie na osobistą dygresję – tak jak Verne, w dzieciństwie zaczytywałem się w robinsonadach, a „Dwa lata wakacji” były jedną z moich najulubieńszych książek autora „Tajemniczej wyspy”. Dlatego bardzo się cieszę, że powieść ta ciągle jest w obiegu, a kolejne jej wydanie będzie szansą na pierwszą bądź ponowną przyjemność z jej lektury.

dr Krzysztof Czubaszek
prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a

Od autora

Ciekawość młodych Czytelników wzbudziło już wielu Robinsonów. Daniel Defoe w swoim nieśmiertelnym *Robinsonie Crusoe* wykreował samotnego człowieka, Wyss w *Robinsonie szwajcarskim* – rodzinę, Cooper w *Kraterze* – społeczność ze wszystkimi jej elementami. W *Tajemniczej wyspie* postawiłem uczonych, by zmierzyli się z potrzebami tej sytuacji. Wymyślono jeszcze *Dwunastoletniego Robinsona*, *Robinsona lodowego*, *Dziewczęcą robinsonadę* itd. Mimo nieskończonej liczby powieści, które składają się na cykl o Robinsonach, wydawało mi się, że aby je uzupełnić, pozostało jedynie przedstawić grupę dzieci w wieku od ośmiu do trzynastu lat, porzuconych na wyspie, walczących o życie wśród nasilających się z powodu różnic narodowościowych emocji – krótko mówiąc: szkołę Robinsonów.

Z drugiej strony, w *Piętnastoletnim kapitanie* postanowiłem pokazać, czego może dokonać odwaga i inteligencja dziecka zmagającego się z niebezpieczeństwami i trudnościami odpowiedzialności przerastających jego wiek. Otóż pomyślałem, że jeśli nauka zawarta w tej książce mogłaby być użyteczna dla wszystkich, temat powinien zostać uzupełniony. W tych oto dwóch celach została napisana ta nowa książka.

Juliusz Verne



CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Burza – Uszkodzony szkuner¹ – Czterej młodzi chłopcy na pokładzie „Sloughi”² – Rozszarpany fok³ – Wizyta we wnętrzu jachtu⁴ – Prawie uduszony chłopiec okrętowy⁵ – Fala od rufy – Ziemia widoczna poprzez poranne mgły – Bariera raf

Nocą dziewiątego marca 1860 roku chmury mieszające się z morzem ograniczały widoczność do zaledwie kilku sążni⁶.

Na wzburzonym oceanie, którego przetaczające się fale rzucały sinawe błyski, pomykał lekki stateczek prawie pozbawiony żagli.

Był to jacht o wyporności stu ton – *schooner*, jak nazywają szkunery w Anglii i Ameryce.

Szkuner nosił nazwę „Sloughi”, choć na próżno byłoby szukać tej nazwy na umieszczonej na jego rufie tablicy, którą jakiś wypadek – uderzenie bałwana czy kolizja – pozbawił pewnego fragmentu poniżej zwieńczenia rufy.

¹ *Szkuner* – żaglowiec o co najmniej dwóch masztach, z ożaglowaniem gąflowym.

² *Sloughi* – rasa psa: chart arabski.

³ *Fok* – główny żagiel na przednim maszcie (fokmaszcie).

⁴ *Jacht* – statek wodny używany do celów turystycznych, sportowych, reprezentacyjnych.

⁵ *Chłopiec okrętowy* (junga) – młody człowiek przysposabiający się do zawodu marynarza, początkujący żeglarz, praktykant na statku.

⁶ *Sążeń* – miara długości równa długości rozstawionych ramion, także miara używana przy pomiarach głębokości wód; we Francji rozróżniało się sążeń (*toise*) jako miarę długości, wynoszącą 1,95 m, oraz sążeń morski, nazywany *brasse*, równający się 1,63 m; sążeń angielski (*fathom*) wynosi 1,83 m; za pomocą tych dwóch miar określano głębokość wód; J. Verne użył w tym miejscu wyrazu *brasse*.

Była jedenasta w nocy. Na tej szerokości geograficznej noce na początku marca są jeszcze krótkie. Pierwsze blade blaski dnia mogły się pojawić dopiero około piątej nad ranem. Ale czy niebezpieczeństwa, które zagrażały „Sloughi” byłyby mniej wielkie, gdyby słońce oświeślało rozciągającą się wokół przestrzeń? Czy kruchy stateczek nie pozostawałby cały czas na łasce żywiołu? Z pewnością, a uspokojenie się wzburzonych fal, uciszenie się gwałtownej wichury mogło go uratować od najstraszniejszej katastrofy – takiej, do jakiej dochodzi na otwartym oceanie, z dala od jakiegokolwiek lądu, na którym pozostali przy życiu rozbitkowie mogliby znaleźć ocalenie!

Na rufie „Sloughi”, przy kole sterowym stali trzej młodzi chłopcy – jeden w wieku około czternastu lat, dwóch innych trzynastoletnich, a ponadto dwunastoletni Murzyn będący chłopcem okrętowym. Tam starali się zjednoczyć swoje siły, pragnąc zapobiec nagłym skrętom, co groziłoby postawieniem jachtu w poprzek fal. Była to bardzo ciężka praca, ponieważ koło sterowe, kręcąc się mimo ich wysiłków, mogłoby wyrzucić ich przez parapety¹ do morza. Nawet raz, nieco przed północą, runęła z boku na jacht taka masa wody, że był to prawdziwy cud, iż ster się nie roztrzaskał.

Powalone nagłym uderzeniem dzieci prawie natychmiast zerwały się na równe nogi.

– Briant, można sterować? – zapytał jeden z nich.

– Tak, Gordonie – odpowiedział Briant, który powrócił na poprzednie miejsce, zachowując całą swoją zimną krew.

Następnie, zwracając się do trzeciego chłopca, dodał:

– Trzymaj się mocno, Doniphan, i nie upadajmy na duchu...!

Musimy ratować pozostałych!

¹ *Parapet* – lita płaska poręcz obiegająca pokład statku ponad wierzchnią częścią burty.

Tych kilka zdań wypowiedział po angielsku, chociaż akcent Brianta wskazywał na jego francuskie pochodzenie.

Odwrócił się teraz w stronę chłopca okrętowego i zapytał:

– Nie jesteś ranny, Moko?

– Nie, panie Briant – odpowiedział chłopiec. – Przede wszystkim starajmy się utrzymać jacht dziobem do fal, bo inaczej ryzykujemy, że pójdziemy na dno!

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwiczki zejściówki¹ prowadzącej do salonu szkunera. Na poziomie pokładu ukazały się dwie małe głowy, a jednocześnie mordka psa i rozległo się głośnie szczekanie.

– Briant...! Briant! – krzyknął dziewięcioletni dzieciak. – Co się dzieje?!

– Nic, Iverson, nic! – odpowiedział Briant. – Zechciej zejść na dół razem z Dole'em... i to jak najprędzej!

– Ale my się bardzo boimy – dorzuciło drugie dziecko, które było jeszcze młodsze.

– A pozostali...? – zapytał Doniphan.

– Pozostali też! – odpowiedział Dole.

– Dalej, wracajcie wszyscy! – rzucił Briant. – Zamknijcie właz, schowajcie się pod kocami, zamknijcie oczy, i już przestaniecie się bać! Nie ma żadnego niebezpieczeństwa!

– Uwaga, jeszcze jedna fala! – krzyknął nagle Moko.

Gwałtowne uderzenie wstrząsnęło rufą. Na szczęście tym razem woda nie wdarła się na pokład, bo gdyby dostała się do środka przez drzwiczki zejściówki, przeciążony jacht nie byłby w stanie się podnieść na grzbiet fali.

¹ *Zejściówka* – każde zejście na statku prowadzące pod pokład, wyposażone w schody lub drabinę; otwór zejściówki jest chroniony wodoszczelnymi drzwiami, a na mniejszych jednostkach przesuwными lub obrotowymi klapami; zwykle jest jedynym normalnie użytkowanym otworem komunikacyjnym dla załogi; dodatkowymi otworami mogą być odpowiednie włazy, czyli luki – głównie dla transportu rzeczy.

– Wracajcie! – krzyknął Gordon. – Wracajcie... albo będziecie mieli ze mną do czynienia!

– Wracajcie, maluchy! – powtórzył Briant, lecz łagodniejszym tonem.

Dwie głowy zniknęły w chwili, gdy inny chłopiec pokazał się w obramowaniu zejściówki i zapytał:

– Nie potrzebujesz nas, Briant?

– Nie, Baxter – odparł Briant. – Cross, Webb, Service, Wilcox i ty, pozostaniecie z malcami! We czwórkę damy sobie radę!

Baxter zamknął drzwiczki od wewnątrz.

„Inni też się boją” – powiedział Dole.

Czyżby na pokładzie pędzonego huraganem szkunera nie było nikogo prócz dzieci? Tak, nikogo, tylko same dzieci! Ile ich było na pokładzie? Piętnaścioro, wliczając w to Gordona, Brianta, Doniphana i chłopca okrętowego. W jakich okolicznościach wsiedli na ten jacht? Wkrótce się tego dowiemy.

Więc na pokładzie nie było żadnego mężczyzny? Żadnego kapitana, który by dowodził? Ani jednego marynarza, który pomógłby im w manewrowaniu? Ani jednego sternika, który sterowałby podczas tej nawałnicy? Nie! Ani jednego dorosłego!

Poza tym nikt na pokładzie nie potrafił powiedzieć, jaka była dokładna pozycja „Sloughi” na tym oceanie...! Na jakim oceanie? Na najrozleglejszym ze wszystkich! Na Pacyfiku, który rozciąga się od ziem Australii i Nowej Zelandii aż po wybrzeże Ameryki Południowej na szerokości dwóch tysięcy lig¹.

Co się zatem wydarzyło? Czy załoga szkunera zginęła w jakiejś katastrofie? Porwali ją malajscy piraci, pozostawiając

¹ *Liga* – tu: francuska liga morska (*lieue marine*), dawna jednostka długości równa 5,556 km; w powieści używane są też: mila morska, stosowana w żegludze morskiej, równa 1852 m; mila lądowa, przyjęta w krajach anglosaskich, równa 1609 m.

samym sobie na pokładzie jedynie młodych pasażerów, z których najstarszy miał zaledwie czternaście lat? Jacht o wyporności stu ton wymaga przynajmniej kapitana, bosmana¹, pięciu lub sześciu marynarzy, a z całej załogi, niezbędnej, by nim manewrować, pozostał zaledwie jeden chłopiec okrętowy...! Wreszcie, skąd przybywał ten *schooner*? Od wybrzeży Australii czy z któregoś z archipelagów Oceanii, i od jakiego czasu przebywał na morzu, i gdzie zamierzał dopłynąć? Takie pytania postawiłby każdy kapitan, który napotkałby „Sloughi” na tych odległych wodach, a dzieci z pewnością mogłyby udzielić jasnych odpowiedzi. Jednak w zasięgu wzroku nie było żadnych statków – ani tych pasażerskich transatlantyków², których szlaki krzyżują się na oceanach, ani statków handlowych – parowca czy żaglowca – które Europa i Ameryka wysyła setkami do portów Pacyfiku. Nawet gdyby jedna z takich jednostek z potężnymi maszynami lub wyposażona w żagle znalazła się w tych okolicach, to sama byłaby zajęta walką z burzą i nie mogłaby przyjść z pomocą jachtowi, miotanemu przez morze jak jakiś wrak!

Tymczasem Briant i jego towarzysze robili wszystko, by *schooner* nie skręcał na jedną czy też na drugą burtę.

– Co robić...?! – krzyknął wówczas Doniphan.

– Wszystko, co będzie możliwe, by się uratować. Bóg nam pomoże! – odparł Briant.

Te słowa wypowiedział młody chłopiec, gdy tymczasem nawet najenergiczniejszy mężczyzna nie miałby już nadziei!

Rzeczywiście, burza podwoiła swoją gwałtowność. Wiatr był jak „sto piorunów”, według określenia używanego przez

¹ *Bosman* – przełożony załogi na statku, odpowiedzialny za całość prac marynarskich.

² *Transatlantyk* – statek pasażerski odbywający rejsy między Europą a Ameryką.

marynarzy, i to wyrażenie było bardzo prawdziwe, „Sloughi” bowiem w każdej chwili mógł być porażony gwałtownym uderzeniem kolejnego ataku wiatru. Zresztą od czterdziestu ośmiu godzin był już w połowie niezdatny do żeglugi, bo jego grotmaszt¹ złamał się cztery stopy² nad piętą masztu³ i nie można było podnieść sztormowego żagla, który pozwoliłby na stabilniejsze sterowanie. Fokmaszt⁴, który utracił bramstengę⁵, trzymał się jeszcze, lecz można było przewidzieć, że nadejdzie chwila, kiedy pozbawiony podtrzymujących go want⁶ zwali się na pokład. Na dziobie strzępy żagla sztormowego łopotały z odgłosem porównywalnym do huku broni palnej. Z całego ożaglowania pozostał jedynie fok, któremu groziło rozdarcie, ponieważ ci młodzi chłopcy nie mieli sił całkowicie go zre-fować⁷, by zmniejszyć jego powierzchnię. Gdyby tak się stało, *schooner* nie byłby w stanie utrzymywać się w linii wiatru, fale uderzyłyby w niego od strony burt, wtedy wyróciłby się i poszedłby na dno, a jego pasażerowie razem z nim zniknęliby w otchłani.

Do tej pory nie zaobserwowano żadnej wyspy na pełnym morzu ani żaden kontynent nie ukazał się na wschodzie! Zderzenie z lądem po stronie wschodniej byłoby straszną okolicz-

¹ *Grotmaszt* – główny maszt na żaglowcu, na „Sloughi” drugi maszt od dziobu.

² *Stopa* – jednostka długości używana w krajach anglosaskich, równa 0,3048 m.

³ *Pięta masztu* – koniec masztu, na którym on się opiera (dolny koniec masztu).

⁴ *Fokmaszt* – maszt przedni na żaglowcu.

⁵ *Bramstenga* – trzecia, licząc od pokładu, część masztu żaglowca, umocowana do stengi i stanowiąca jej przedłużenie.

⁶ *Wanta* – lina należąca do olinowania stałego, stabilizująca maszt w pionie, w płaszczyźnie zbliżonej do płaszczyzny poprzecznej względem płaszczyzny symetrii statku.

⁷ *Refowanie* – zmniejszanie powierzchni żagla stosowane przy silniejszych wiatrach w celu zmniejszenia siły działającej na żagiel, obniżenia środka ożaglowania i zmniejszenia przechyłu.

nością, a jednak te dzieci nie obawiały się go tak, jak wściekłości bezmiaru wód. Każde wybrzeże, jakiegokolwiek by ono było, nawet z mieliznami, podwodnymi rafami, straszliwymi, nacierającymi na nie bałwanami, okropną kipiela¹ nieustannie uderzającą w skały – to wybrzeże, tak przynajmniej wierzyli, byłoby dla nich ocaleniem. To był stały ląd zamiast tego oceanu, który w każdej chwili mógł się otworzyć pod ich stopami!

Dlatego też wypatrywali jakiegoś światelka, na które mogliby wziąć kurs...

Pośród głębokich ciemności nie pokazał się żaden błysk światelka!

Nagle, około pierwszej w nocy, niesamowity huk przebił się przez gwizd wichury.

– Złamał się fokmaszt...! – krzyknął Doniphan.

– Nie! – odparł chłopiec okrętowy. – To tylko żagiel wyrwał się z liklin²!

– Trzeba się go pozbyć – powiedział Briant. – Gordon, zostań z Doniphanem przy sterze, a ty, Moko, chodź mi pomóc!

Jeśli Moko, jako chłopiec okrętowy, musiał posiadać pewną wiedzę żeglarską, Briant również nie był jej całkowicie pozbawiony. Przepłynąwszy już wcześniej Atlantyk i Pacyfik, kiedy przybył z Europy do Oceanii, trochę zapoznał się z manewrami statku. To wyjaśnia, dlaczego inni młodzi chłopcy, którzy nic na ten temat nie wiedzieli, musieli polegać na nim i na Moko, jeśli chodziło o sterowanie *schoonerem*.

W jednej chwili Briant i chłopiec okrętowy śmiało pobiegli na dziób jachtu. By uniknąć postawienia statku w poprzek

¹ *Kipiel* – fala przybojowa, silna, spiętrzona fala morska przy wyższym wybrzeżu.

² *Liklina* – lina wszyta w lik (krawędź) żagla; służy wzmocnieniu brzegu żagla, przeciwdziałając jego rozciągnięciu, oraz chroniąc przed pęknięciem czy rozdarciem.

fal, trzeba było za wszelką cenę pozbyć się foka, który w swojej dolnej części tworzył coś w rodzaju kieszeni, co sprawiało, że szkuner przechylił się do takiego punktu, w którym groziło mu zatonięcie. Gdyby tak się stało, nie zdołałby się już podnieść, chyba że udałoby się zrąbać fokmaszt przy samej pięcie, po wcześniejszym zerwaniu metalowych want. Lecz w jaki sposób dzieci zdołałyby tego dokonać?

W tych okolicznościach Briant i Moko dali dowody niezwykłej zręczności. Postanowili zachować największą, jak to było możliwe, powierzchnię płótna, aby utrzymać „Sloughi” rufą do wiatru, dopóki nie ucichnie huragan. Zdołali poluzować fał gafla¹ i opuścić go na mniej więcej pięć stóp od pokładu. Resztki foka odcięli nożem, natomiast dolne narożniki umocowali za pomocą dwóch fałszywych brasów² do nagielbanku nadburcia³. Nie obyło się bez tego, że dwaj nieustraszeni chłopcy ze dwadzieścia razy omal nie zostali zmieceni z pokładu przez fale.

Z mocno zredukowanym ożaglowaniem szkuner mógł utrzymywać wcześniejszy kierunek, którym od dłuższego czasu podążał. Napór wiatru na sam kadłub powodował, że jacht płynął z prędkością torpedowca. Najważniejsze jednak było to, żeby umykać przed falami, płynąc szybciej od nich, i nie otrzymywać uderzeń bałwanów wpadających ponad zwieńczenie rufy.

¹ *Fał* – lina służąca do podnoszenia (opuszczania) m.in. żagli; *gafel* – ruchoma belka wsparta jednym końcem o maszt, służąca do rozpinania żagli.

² *Fałszywy bras* – lina zamontowana wzdłuż krawędzi pokładu, służąca przytrzymywaniu przybijających łodzi.

³ *Nagielbank* (kołkownica) – pozioma belka z otworami na nagle (kołki), umieszczana blisko masztu albo przy nadburciu; *nagiel* – drewniany lub metalowy, odpowiednio ukształtowany kołek pionowy, do połowy jego długości włożony w otwór nagielbanku, służący do obkładania (mocowania) lin; *nadburcie* – pionowe przedłużenie burty statku wystające ponad pokład.



W tych okolicznościach Briant i Moko dali dowody niezwykłej zręczności.

Wykonawszy to zadanie, Briant i Moko powrócili do Gordona i Doniphana, by pomagać im przy sterze.

W tym momencie drzwi zejściówki otworzyły się po raz drugi. Jakieś dziecko wychyliło głowę na zewnątrz. Był to Jacques, młodszy o trzy lata brat Brianta.

– Czego chcesz, Jacques? – zapytał Briant.

– Chodź...! Chodź! – zawołał malec. – W salonie jest już woda!

– Jak to możliwe? – krzyknął Briant i rzuciwszy się do zejściówki, pospiesznie zbiegł na dół.

Salon był słabo oświetlony przez lampę huśtającą się gwałtownie wskutek kołysania się statku na boki. W jej blasku można było dostrzec dziesięcioro dzieci rozciągniętych na kanapach i kojach „Sloughi”. Najmłodsi, którzy mogli mieć od ośmiu do dziewięciu lat, tulili się jeden do drugiego ogarnięci przerażeniem.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa! – powiedział Briant, chcąc ich przede wszystkim uspokoić. – Jesteśmy z wami...! Nie bójcie się!

Następnie, oświetlając latarnią okrętową podłogę salonu, zdołał stwierdzić, że trochę wody przelewało się od burty do burty.

W jaki sposób się tutaj dostała? Czyżby przeniknęła przez jakieś pęknięcia w poszyciu kadłuba? Należało to szybko wyjaśnić.

Przed salonem, w stronę dziobu, znajdowała kabina dowódcy, następnie jadalnia i kubryk¹.

Briant przebiegł te wszystkie pomieszczenia i zauważył, że woda nie przenikała do nich ani powyżej, ani poniżej wodni-

¹ *Kubryk* – pomieszczenie, w którym spała razem załoga statku; znajdowało się zwykle pod pokładem, na dziobie.



Ta woda, spływająca od dziobu w kierunku rufy, pochodziła z wielkich fal wpadających na pokład od strony dziobu.

cy¹. Ta woda, spływająca od dziobu w kierunku rufy, pochodziła z wielkich fal wpadających na pokład od strony dziobu, a poprzez nieszczelne drzwiczki zejściówki do kubryku pewna jej ilość dostawała się do wnętrza. Zatem z tej strony nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Briant, wracając przez salon, dodał odwagi towarzyszom i nieco mniej zaniepokojony powrócił na swoje miejsce przy sterze. *Schooner*, solidnie zbudowany, którego kadłub niedawno został obity podwójną miedzianą blachą, nie powinien nabierać wody i był w stanie opierać się atakom fal.

Było wówczas około pierwszej w nocy. O tej nocnej porze mocno zachmurzone niebo potęgowało jeszcze ciemności, a wściekłość rozszalałej nawałnicy tylko się zwiększyła. Jacht żeglował, jakby był cały zanurzony w tym płynnym środowisku. Powietrze rozdzierały ostre krzyki petreli². Czy z ich pojawienia się można było wnioskować, że w pobliżu znajdowała się ziemia? Nie, ponieważ często się je spotyka kilkaset lig od brzegów. Zresztą, nie mogąc walczyć z powietrznymi prądami, te ptaki burz naśladowały *schooner*, którego prędkości nie była zdolna wyhamować żadna ludzka siła.

Godzinę później na pokładzie ponownie dał się słyszeć odgłos rozrywania się materii. Pozostałości foka podarły się i strzępy płótna zniknęły w przestrzeni, podobne do ogromnych mew.

– Nie mamy już żagla ani możliwości, by wciągnąć inny! – krzyknął Doniphan.

¹ *Wodnica* (linia wodna) – linia wyznaczana na kadłubie przez poziom spokojnej wody, przy określonym stopniu załadowania jednostki pływającej.

² *Petrele* (burzykowate, *Procellariidae*, *Puffinidae*) – rodzina ptaków morskich z rzędu rurkonosych, obejmująca 72 gatunki; ich długie, wąskie skrzydłami (u niektórych gatunków rozpiętość do 200 cm) pozwalają na długotrwałe szybowanie nad oceanami; występują na całym globie; do najbardziej znanych należą: petrel olbrzymi, fulmar, burzyk żółtodzioby.

– Nieważne! – odpowiedział Briant. – Możesz być pewny, że nie popłyniemy wolniej!

– Piękna odpowiedź! – stwierdził Doniphan. – Jeżeli to jest twój sposób na manewrowanie...

– Uwaga na fale od rufy! – rozległ się głos Moko. – Musimy się bardzo mocno przywiązać, inaczej zostaniemy przez nie uniesieni...

Chłopiec okrętowy nie skończył zdania, kiedy kilka ton wody runęło przez zwieńczenie rufy. Briant, Doniphan i Gordon zostali rzućeni w stronę pokrywy luku, której zdążyli się uchwycić, lecz Moko zniknął pod masą wody, która zamiatała pokład „Sloughi” od rufy aż po dziób, porywając ze sobą część łodzi okrętowych, to znaczy, dwie szalupy i jolkę¹, chociaż były solidnie przymocowane, a ponadto kilka zapasowych części omasztowania, jak również naktuz kompasu². Także nadburcie zostało zmiecione w mgnieniu oka, dzięki czemu woda natychmiast spłynęła, co uratowało jacht przed zatopieniem pod jej olbrzymim ciężarem.

– Moko... Moko! – wykrzyknął Briant, gdy tylko był w stanie wydobyć z siebie głos.

– Czy wpadł do wody...? – zapytał Doniphan.

– Nie...! nie widać go... i nie słysząc! – odparł Gordon, który wychylił się za burtę.

– Trzeba go ratować! Rzucić mu pławę... liny! – rzucił Briant i głosem, który zabrzmiał donośnie w chwili kilku sekund ciszy, ponownie zawołał:

– Moko, Moko!

¹ *Jolka* – niewielka łódź wiosłowa używana do prac pomocniczych, wieszana na rufie statku.

² *Naktuz* – podstawa kompasu okrętowego w postaci wąskiej szafki; dawnej naktuz był instalowany przed stanowiskiem sternika (kompas sterowy) oraz w miejscu umożliwiającym użycie kompasu do namierzania.

– Na pomoc! Do mnie...! – usłyszeli głos chłopca.

– Nie wpadł do wody! – stwierdził Gordon. – Głos dochodzi od strony dziobu!

– Uratuję go! – krzyknął Briant.

Zaczął czołgać się po pokładzie, jak najstaranniej unikając uderzeń rozhuśtanych bloków kołyszących się na końcach poluźnionych lin i chroniąc się przed upadkiem, który na tym śliskim pokładzie był prawie nieunikniony.

Jeszcze raz w przestrzeni rozbrzmiał głos chłopca okrętowego, a potem wszystko umilkło.

Tymczasem Briant za cenę największych wysiłków zdołał dotrzeć do zejściówki wiodącej do kubryku.

Zawołał...

Żadnej odpowiedzi.

Czyżby Moko został zmyty z pokładu przez falę po tym, jak krzyknął po raz ostatni? W takim przypadku nieszczęsne dziecko musiało być teraz daleko, bardzo daleko po zawietrznej¹, ponieważ fale nie mogły unosić go z prędkością dorównującą szybkości *schoonera*. W takim razie był zgubiony...

Nie! Słabiutki okrzyk dotarł aż do Brianta, który pospiesznie rzucił się w stronę kabestanu², w którego podstawie zamocowana była pięta bukszprytu³. Tam jego ręce napotkały szamocące się ciało...

¹ *Zawietrzna* – strona statku, na którą wiatr nie wieje bezpośrednio; strona (burta) statku, na którą bezpośrednio wieje wiatr, nazywa się nawietrzną.

² *Kabestan* (winda kotwiczna) – urządzenie o podobnym zastosowaniu co winda lub wciągarka, ale z bębniem usytuowanym na osi pionowej, a nie na poziomej; na statkach służy do wciągania (tzw. wybierania) na pokład lin lub łańcuchów kotwicznych, cum, a w żeglarsztwie także do wybierania lin olinowania ruchomego obsługujących żagle i drzewca.

³ *Bukszpryt* – drewniana lub metalowa belka umocowana do dziobnicy, zwłaszcza żaglowca, wystająca ukośnie do góry przed dziób statku, służąca do rozpinania lin i żagli.

Był to chłopiec okrętowy, wciśnięty w róg, jaki tworzyły nadburcia zbiegające się na dziobie statku. Kiedy się poruszał, fał żagla coraz bardziej zaciskał się na jego gardle. Czy po tym, jak został powstrzymany przez ten fał w momencie, gdy ogromny bałwan już go porywał, miał następnie zginać udu-szony tą liną...?

Briant wyciągnął nóż i nie bez kłopotów przeciął liny ta-kielunku trzymające chłopca okrętowego.

Zaciągnął Moko na tylny pokład, a ten, kiedy tylko mógł wydobyc głos, powiedział:

– Dziękuję, panie Briant, dziękuję!

Ponownie zajął swoje miejsce przy kole sterowym, i wszy-scy czterej przywiązali się liną, by móc się opierać ogromnym bałwanom, które piętrzyły się po nawietrznej „Sloughi”.

Wbrew temu, co sądził Briant, prędkość jachtu trochę się zmniejszyła od czasu, jak nic nie pozostało z foka. Oznaczało to nowe zagrożenie. W istocie bowiem nadbiegające szybciej fale mogły nacierać na statek od strony rufy i wdzierać się do środka. Co jednak mogli zrobić? Nie sposób było wciągnąć naj-mniejszego żagla.

Na południowej półkuli marzec odpowiada wrześniowi na półkuli północnej, a noce trwają prawie tyle co dzień. Ponie-waż zaś było około czwartej nad ranem, horyzont wkrótce po-winien się rozjaśnić na wschodzie, to znaczy powyżej tej części oceanu, ku której nawałnica popychała „Sloughi”. Może wraz z nadejściem świtu wichura straci na gwałtowności? Może także w polu widzenia pojawi się ziemia, a los tej załogi zło-żonej z dzieci rozstrzygnie się w kilku minutach? To się oka-że, kiedy tylko świt rozjaśni odległe niebo.

Okolo wpół do piątej kilka rozproszonych błysków przedarło się aż do zenitu nieboskłonu. Na nieszczęście gęste mgły ogra-niczały pole widzenia zaledwie do niecałej ćwierci ligi. Dawało

się wyczuć, że chmury przesuwają się z niesamowitą prędkością. Huragan nic nie stracił ze swojej siły i aż po horyzont rozkołysany ocean ginał w rozbryzgach morskiej piany. *Schooner* czasem wypływał na grzbiet fali, czasami był strącany w odmęty, po wielokroć położyłby się na burcie, gdyby stanął w poprzek fal.

Czterej młodzi chłopcy patrzyli na ten chaos rozhukanych wód. Dobrze wyczuwali, że jeżeli szybko nie nastąpi uspokojenie, ich sytuacja będzie rozpaczliwa. „Sloughi” nie przetrwałby następnych dwudziestu czterech godzin pod uderzeniami bałwanów, które w końcu zniszczą klapy luków.

W pewnym momencie Moko krzyknął:

– Ziemia...! Ziemia!

Poprzez rozdarcie w gęstych mgłach chłopiec okrętowy, jak mu się wydawało, zauważył na wschodzie zarysy wybrzeża. Czy się nie mylił? Niezwykle trudno było rozpoznać niewyraźne kontury brzegu, które tak łatwo można pomylić z kłębamii chmur.

– Ziemia...? – zapytał Briant.

– Tak, ziemia tam, na wschodzie! – odparł Moko i wskazał punkt na horyzoncie, zakryty teraz oparami.

– Jesteś pewny? – ponownie zapytał Doniphan.

– Tak... tak! Zupełnie pewny! – odpowiedział mały junga. – Kiedy mgła jeszcze bardziej się rozproszy... popatrzcie dobrze... tam, trochę na prawo od fokmasztu... Patrzcie, patrzcie!

Gęste mgły nad oceanem zaczynały się rozpraszać i poczęły się wznosić ku górnym strefom atmosfery. Kilka minut później przed dziobem jachtu ukazała się rozległa na kilka mil powierzchnia oceanu.

– Tak... to ziemia...! To na pewno ziemia! – wykrzykiwał Briant.

– Tak, i to płaska! – dodał Gordon, który bacznie obserwował zasygnalizowane wybrzeże.

Tym razem nie było już żadnych wątpliwości. Nieważne, co to było – kontynent czy wyspa – ziemia rysowała się wyraźnie na jakieś pięć do sześciu mil na szerokim odcinku horyzontu. Przy kierunku, w którym podążał, a z którego wichura nie pozwalała mu zboczyć, „Sloughi” mógł zostać na nią rzucony w ciągu godziny. Należało się obawiać, że może się roztrzaskać, zwłaszcza jeśli zatrzymają go podwodne rafy, zanim dotrze do stałego lądu. Ale ci chłopcy nawet o tym nie myśleli. W tej ziemi, która niespodziewanie ukazała się ich oczom, widzieli, mogli widzieć tylko zbawienie.

W tym momencie wichur zaatakował z jeszcze większą wściekłością. „Sloughi”, niesiony nim jak piórko, pędził w kierunku wybrzeża, które odcinało się czystą, jakby narysowaną atramentem kreską na tle białawego nieba. Na dalszym planie wznosiła się faleza¹, której wysokość nie przekraczała stu pięćdziesięciu do dwustu stóp. Przed nią rozciągała się piaszczysta, żółtawa plaża, ograniczona od prawej strony przez zaokrąglone masy, które wydawały się lasem położonym w głębi lądu.

Ach, gdyby „Sloughi” zdołał dotrzeć do piaszczystej plaży, nie napotkawszy na ławice raf, gdyby jakieś ujście rzeki zaoferowało mu schronienie, może jego młodzi pasażerowie wyszliby z tej sytuacji cali i zdrowi!

Podczas kiedy Doniphan, Gordon i Moko pozostawali przy sterze, Briant usadowił się na dziobie i spoglądał na ziemię, która rosła w oczach, bo tak znaczna była prędkość statku. Na próżno jednak szukał jakiegoś miejsca, do którego jacht mógłby przybić w sprzyjających warunkach. Nie widać było ani ujścia rzeki czy strumienia, ani łachy piasku, gdzie mogliby od razu osiąść. Niestety z tej strony przed piaszczystym wybrzeżem

¹ Faleza (klif) – urwisko brzegu morskiego lub jeziornego powstające na wysokich wybrzeżach wskutek niszczycielskiej działalności fal.

rozciągał się szereg raf, których czarne wierzchołki wynurzały się spod wód rozkołysanego, falującego oceanu, gdzie bez przerwy burzyła się potworna kipiela. Przy pierwszym zderzeniu z nimi „Sloughi” zostałby roztrzaskany.

Briant pomyślał wówczas, że byłoby lepiej, aby w momencie lądowania wszyscy jego koledzy znaleźli się na pokładzie. Otworzył drzwiczki zejściówki i krzyknął:

– Na górę, wszyscy!

Natychmiast na zewnątrz wyskoczył pies, a za nim w stronę rufy jachtu poczołgało się dziesięcioro dzieci. Na widok fal, które pływaczka czyniła jeszcze straszniejszymi, najmniejsi z nich wydawali okrzyki przerażenia...

Tuż przed szóstą rano „Sloughi” dotarł do stromych podwodnych raf.

– Trzymajcie się dobrze, bardzo mocno! – krzyczał Briant.

Pozbывszy się części odzieży, był przygotowany przyjść z pomocą tym, których wciągnęłaby kipiela, bo nie było wątpliwości, że jacht zostanie rzucony na rafy.

Nagle dał się odczuć pierwszy wstrząs. „Sloughi” natychmiast przechylił się na rufę, ale chociaż cały kadłub zadygotał, woda nie dostała się do wnętrza przez poszycie.

Jacht, uniesiony w górę przez następną falę, został przeniesiony pięćdziesiąt stóp do przodu, nawet nie zadrasnawszy skał, których ostre wierzchołki wznosiły się w tysiącach miejsc. Wreszcie, przechylony na bakburtę¹, znieruchomiał pośród wrzącej kipieli.

Jeśli nie był już na pełnym morzu, to znajdował się jeszcze ćwierć mili od brzegu.



¹ *Bakburta* – lewa (patrząc w stronę dziobu) burta jednostki pływającej.

Rozdział II

Pośród kipieli – Briant i Doniphan – Obserwacja wybrzeża

– Przygotowania do akcji ratunkowej – Spór o łódź

– Z wysokości fokmasztu – Odważna próba Brianta

– Skutki fali skaczącej¹

W tym momencie przestrzeń uwolniona od zasłony gęstych mgieł pozwalała się rozejrzeć w dużym promieniu wokół szkunera. Chmury pędziły ciągle z ekstremalną prędkością, wicher nic nie stracił ze swojej wściekłości. Być może jednak były to jego ostatnie ataki na te nieznane okolice Oceanu Spokojnego.

Należało mieć taką nadzieję, gdyż sytuacja była nie mniej niebezpieczna niż w nocy, podczas gdy „Sloughi” zmagał się z gwałtownością burzy na pełnym morzu. Dzieci, skulone razem jedno przy drugim, musiały myśleć, że są zgubione, gdy jakaś fala przelewała się ponad parapetami i pokrywała je pianą. Wstrząsy były tym silniejsze, że *schooner* nie mógł ich uniknąć. Choć jednak trząśł się przy każdym uderzeniu aż po same wręgi², nie wydawało się, żeby jego poszycie zostało uszkodzone, ani gdy napierał na rafy, ani gdy był, że tak powiem, osadzony między głowami skał. Briant i Gordon po zejściu do pomieszczeń stwierdzili, że woda nie przedostała się do wnętrza ładowni.

Starali się więc, jak potrafili najlepiej, uspokoić swoich towarzyszy, przede wszystkim malców.

¹ *Fala skacząca* – gwałtowna fala przypyływu od strony morza.

² *Wręgi* – wygięte belki albo sztaby przymocowane do kilu i stanowiące poprzeczny szkielet kadłuba, do którego przymocowane jest poszycie, czyli deski stanowiące obicie szkieletu statku.

– Nie bójcie się! – powtarzał ciągle Briant. – Jacht jest solidny...! Wybrzeże nie jest daleko...! Poczekajcie, postaramy się dotrzeć do brzegu!

– Ale dlaczego mamy czekać...? – zapytał Doniphan.

– Tak, dlaczego? – dodał inny chłopak, dwunastolatek, który nazywał się Wilcox. – Doniphan ma rację... Dlaczego mamy czekać?

– Ponieważ morze jest jeszcze zbyt wzburzone i mogłoby nas rzucić na skały! – odpowiedział Briant.

– A jeżeli jacht się roztrzaska?! – krzyknął trzeci z chłopców, o nazwisku Webb, który był mniej więcej w tym samym wieku co Wilcox.

– Nie wierzę, żeby należało się tego obawiać – odpowiedział Briant – przynajmniej podczas odpływu. Kiedy morze na tyle opadnie, na ile pozwoli wiatr, zajmiemy się ratowaniem nas!

Briant miał rację. Chociaż pływy¹ na Oceanie Spokojnym są względnie nieduże, jednakże mogą wytwarzać dość znaczącą różnicę poziomu pomiędzy najwyższym a najniższym stanem wody. Było więc korzystne poczekać kilka godzin, zwłaszcza jeśli wiatr zacząłby słabnąć. Być może odpływ morza odsłoni część ławicy raf. Wówczas bezpieczniejsze stanie się opuszczanie *schoonera* i łatwiej będzie przebyć ćwierć mili, jakie dzieliło go od piaszczystego wybrzeża.

Jednakże, mimo że rada Brianta była bardzo rozsądna, Doniphan z kilkoma chłopcami nie zamierzali się do niej zastosować. Zgromadzili się na dziobie i rozmawiali między sobą przyciszonymi głosami. Widać było wyraźnie, że Doniphan, Wilcox,

¹ *Pływy morskie* (przyływ i odpływ) – regularnie powtarzające się podnoszenie i opadanie poziomu wody w oceanie, wywołane przez zjawisko pływowe, którego przyczyną są siły grawitacyjne Księżyca i Słońca; największy skok pływu zanotowano w zatoce Fundy (Kanada), gdzie wynosił prawie 20 m.

Webb i jeszcze jeden chłopiec o nazwisku Cross nie mieli zupełnie ochoty porozumieć się z Briantem. Podczas długiej podróży na „Sloughi”, jeżeli zgodzili się go słuchać, to tylko dlatego że Briant, jak już wiemy, znał się nieco na nawigacji. Jednak cały czas myśleli, że jak tylko znajdą się na lądzie, odzyskają swobodę działania – szczególnie Doniphan, który ze względu na wykształcenie i inteligencję uważał się za lepszego od Brianta i wszystkich innych jego kolegów. Zresztą ta zazdrość Doniphana wobec Brianta datowała się od dawna, a brała się stąd, że Briant był Francuzem, a młodzi Anglicy nie byli skłonni do znoszenia jego przywództwa.

Dlatego należało się obawiać, że inklinacje te zwiększą powagę i tak już niepokojącej sytuacji.

Tymczasem Doniphan, Wilcox, Cross i Webb spoglądali na spienioną powierzchnię wody usianą wirami i pociętą prądami, które wydawały się bardzo niebezpieczne do pokonania. Najzręczniejszy pływak nie dałby rady kipieli w czasie odpływu, szczególnie kiedy wiatr spiętrzał wodę ku lądowi. Rada, aby zaczekać jeszcze kilka godzin, wydawała się bardzo usprawiedliwiona. Doniphan i jego towarzysze musieli stawić czoła faktom i powrócili wreszcie na rufę, gdzie zgromadzili się ich młodszy koledzy.

Briant mówił wówczas do Gordona i kilku innych, którzy go otaczali:

– Za żadną cenę nie możemy się rozdzielać...! Bądźmy razem albo będziemy zgubieni...!

– Nie rość sobie prawa do rządzenia nami! – krzyknął Doniphan, który usłyszał ostatnią wypowiedź.

– Niczego się nie domagam – odparł Briant – a mówię tak tylko tego, że musimy działać zgodnie dla ocalenia nas wszystkich!

– Briant ma rację! – stwierdził Gordon, chłopiec opanowany i poważny, który nigdy nie odzywał się bez zastanowienia.

– Tak... tak...! – krzyknęło kilku malców, którym jakiś ukryty instynkt kazał trzymać się z Briantem.

Doniphan nie odpowiedział, ale on i jego towarzysze uparcie trzymali się na uboczu, oczekując godziny przystąpienia do ewakuacji.

Jaki był ten ląd? Czy należał do kontynentu, czy też był jedną z wysp jakiegoś archipelagu położonego na Oceanie Spokojnym? Na to pytanie nie było jasnej odpowiedzi, jako że „Sloughi” znalazł się zbyt blisko wybrzeża, by móc obserwować go w odpowiednim promieniu. Jego wcięcie, tworzące rozległą zatokę, kończyło się dwoma przylądkami: jeden z nich był dość wysoki i opadał pionowo ku północy, drugi wysmukły, z cyplem skierowanym ku południowi. Jednak czy poza tymi dwoma przylądkami morze zaokrąglalo się w ten sposób, by obmywać kontury wyspy? To właśnie na próżno starał się zbadać Briant za pomocą jednej z lunet znajdujących się na statku.

Rzeczywiście, jeśli by ta ziemia była wyspą, jak zdołaliby ją opuścić, gdyby nie dało się ściągnąć na głębsze wody szkunera, który przyptyw musiał w końcu zniszczyć, przeciągając go po rafach? A jeżeli wyspa była bezludna – nie brakuje takich na wodach Pacyfiku – czy te dzieci, zdane tylko na siebie, przeżyją na niej, mając do dyspozycji jedynie to, co zdołają uratować z jachtu?

Gdyby znaleźli się na kontynencie, to przeciwnie, ich szanse przeżycia znacznie by wzrosły, ponieważ ten kontynent mógłby być tylko Ameryką Południową. Tam, na obszarach Chile czy Boliwii, znaleźliby pomoc, jeżeli nie natychmiast, to przynajmniej po kilku dniach od zejścia na ląd. Było też prawdą, że na wybrzeżu sąsiadującym z pampasami¹ można się było obawiać

¹ *Pampasy* – równinne stepy porośnięte wysoką trawą występujące w umiarkowanej strefie Ameryki Południowej.

wielu niebezpiecznych spotkań, ale w tym momencie jedyną istotną kwestią stawało się dotarcie do brzegu.

Było już dość jasno i dało się rozróżnić wszystkie szczegóły lądu. Widzieli więc na pierwszym planie piaszczyste wybrzeże, falezę obramowującą je od tyłu, a także masywy drzew zgrupowane u jej podstawy. Briant zasygnalizował nawet po prawej stronie wybrzeża ujście *rio*¹.

W sumie, nawet jeśli widok tego wybrzeża morskiego nie miał w sobie nic mocno pociągającego, to jednak kurtyna zieleni wskazywała na urodzajność gleby, dającej się porównać z glebami umiarkowanych stref geograficznych. Bez wątpienia poza falezą wegetacja, chroniona przed wiatrami dolatującymi znad oceanu, musiała się bujniej rozwijać, znajdując pomyslniejsze warunki.

Nie wydawało się, by ta część wybrzeża była zamieszкана. Nie było widać żadnego domu ani chaty, nawet przy ujściu *rio*. Może tubylcy, jeżeli tu żyli, przebywali głównie w głębi tej krainy, gdzie byli mniej narażeni na gwałtowne ataki zachodnich wiatrów?

– Nie widzę nawet najmniejszej smużki dymu – powiedział Briant, opuszczając swoją lunetę.

– Nie ma też żadnych łodzi na plaży! – zauważył Moko.

– Skąd by się tu wzięły, skoro nie ma przystani...? – odpowiadał Doniphan.

– Wcale nie potrzebowałyby przystani – zauważył Gordon. – Łodzie rybackie mogą znaleźć schronienie przy ujściu rzeki i możliwe, że burza zmusiła je do popłynięcia w głąb lądu.

Uwaga Gordona była słuszna. Jakkolwiek było, z tej czy innej przyczyny nie dostrzeżono żadnej łodzi, a tak po prawdzie ta część wybrzeża wydawała się zupełnie niezamieszкана. Czy dałoby się tu egzystować, gdyby młodzi rozbitkowie musieli

¹ *Rio* (hiszp.) – rzeka, rzeczka, strumyk.

przebywać w tym miejscu przez kilka tygodni? O to musieli się zatroszczyć w pierwszej kolejności.

Tymczasem morze powoli się cofało, co prawda bardzo powoli, ponieważ wiatr od pełnego morza stawiał silny opór, choć wydawał się słabnąć i zmieniać kierunek na północno-zachodni. Należało więc być przygotowanym, w razie gdyby ławica raf zaoferowała dogodne przejście.

Była prawie siódma rano. Wszyscy zajęli się wynoszeniem na pokład jachtu przedmiotów pierwszej potrzeby, decydując się pozbierać pozostałe, kiedy morze doniesie ich do brzegu. Zarówno mali, jak i duzi mocno przykładali się do pracy. Na pokładzie już znajdowały się spore zapasy konserw, sucharów, wędzonego i solonego mięsa. Robiono z nich pakiety, które miały być rozdzielone pomiędzy starszych chłopców, którzy byli zobowiązani przetransportować je na ląd.

Aby jednak taki transport można było przeprowadzić, bariera raf powinna całkowicie wynurzyć się z wody. Czy tak się zdarzy w chwili najniższego stanu wody i czy odpływ wystarczy, by odsłonić skały aż do samego piaszczystego wybrzeża?

Briant i Gordon zajęli się uważną obserwacją morza. Jednocześnie ze zmianą kierunku odczuwało się, że wiatr się uspokaja, zmniejszało się również wrzenie kipieli. Łatwo było zauważyć obniżanie się wód, obserwując różne punkty wynurzających się skał. Zresztą szkuner również odczuwał tego skutki, pochylając się bardziej na bakburtę. Można się było nawet obawiać, że jeżeli jego przechył jeszcze się powiększy, całkowicie położy się na boku, ponieważ miał niezwykle smukły kadłub, z podniesionymi dennikami¹ i bardzo wysokim kilem², jak szybko-

¹ *Dennik* – element szkieletu statku, poprzeczne wiązanie mocowane od góry do stępki, dające oparcie poszyciu dna kadłuba; dennik wraz z dwiema wręgami i pokładnikiem tworzy ramę wręgową.

² *Kil* (stępka) – belka biegnąca na dnie kadłuba statku, będąca podstawą jego konstrukcji, odchodzą od niej wręgi, stanowi także balast.

bieżny jacht. W takim przypadku, gdyby woda zalała pokład, zanim zdołają go opuścić, sytuacja byłaby ekstremalnie poważna.

Było godne pożałowania, że podczas nawałnicy łodzie zostały zmyte za burtę! Mając szalupy mogące pomieścić wszystkich znajdujących się statku, Briant i jego koledzy mogliby od razu spróbować dotrzeć do brzegu. Później łatwo dałoby się ustanowić połączenie pomiędzy wybrzeżem a *schoonerem*, by przetransportować tyle tak użytecznych przedmiotów, które chwilowo trzeba było pozostawić na pokładzie! A gdyby następnej nocy „Sloughi” miał się roztrzaskać, ile byłyby warte jego szczątki, gdy kipiel potoczyłaby je przez rafy? Czy będzie można jeszcze je zużytkować? Czy pozostawione na statku zapasy żywności nie zostaną zniszczone? Czy młodzi rozbitkowie nie będą wkrótce skazani jedynie na zasoby tej ziemi?

To była bardzo niefortunna okoliczność, że nie było już łodzi do przeprowadzenia akcji ratunkowej!

Nagle na dziobie wybuchły jakieś krzyki. To Baxter właśnie dokonał bardzo ważnego odkrycia.

Jolka ze *schoonera*, którą uważano za straconą, zaplątała się w watersztagach¹ bukszprytu. Prawdą było, że w tej łódce mogło się pomieścić najwyżej pięć, sześć osób, ale skoro nie była uszkodzona – co stwierdzono po wyciągnięciu jej na pokład – mogli jej użyć w przypadku, gdyby morze nie pozwoliło przebyć bariery raf suchą stopą. Teraz należało poczekać, aż woda osiągnie najniższy poziom. Tymczasem wywiązała się ożywiona dyskusja, w której Briant i Doniphan znów się pokłócili.

Okazało się, że Doniphan, Wilcox, Webb i Cross zagarnęli łódź i właśnie gotowali się do spuszczenia jej na wodę, kiedy podszedł do nich Briant.

¹ *Watersztag* – lina (łańcuch) podtrzymująca bukszpryt w osi poziomej, biegnąca od końca bukszprytu do dziobnicy.

– Co chcecie zrobić? – zapytał.

– To, co nam się podoba! – odparł Wilcox.

– Chcecie wsiąść do tej łodzi...?

– Tak – odparł Doniphan – i ty nam w tym nie przeszkodzisz!

– Tak, zrobię to, a razem ze mną wszyscy, których chcesz opuścić! – oświadczył Briant.

– Opuścić? Co ty gadasz? – powiedział wyniośle Doniphan. – Nie zamierzam nikogo tu zostawiać, rozumiesz! Kiedy do-
trzemy do brzegu, jeden z nas odprowadzi wam jolkę...

– A jeżeli łódka nie będzie mogła powrócić?! – krzyknął Briant, z trudem panując nad sobą. – Jeśli rozbije się na tych skałach...?!

– Wsiadajmy, już wsiadajmy! – ponaglał Webb, odpychając Brianta.

Następnie przy pomocy Wilcoxa i Crossa podnieśli jolkę, by spuścić ją na wodę.

Jednak Briant również złapał ją za jeden z końców.

– Nie wsiadajcie do niej! – powiedział.

– To się jeszcze okaże – odparł na to Doniphan.

– Nie odpłyniecie sami! – powtórzył Briant, bardzo zdecydowany bronić wspólnego interesu. – Jolką powinni najpierw popłynąć malcy, jeżeli woda przy najniższym stanie będzie zbyt głęboka, by dotrzeć do brzegu o własnych siłach...

– Zostaw nas w spokoju! – krzyknął Doniphan, w którego wstąpiła złość. – Powtarzam ci, Briant, że nie przeszkodzisz nam zrobić tego, co zamierzamy!

– A ja ci powtarzam, Doniphan, że nie odpłyniecie! – zawołał Briant.

Obydwaj chłopcy gotowi byli rzucić się jeden na drugiego. W tej kłótni Wilcox, Webb i Cross wzięliby naturalnie stronę Doniphana, podczas gdy Baxter, Service i Garnett ustawiliby się po stronie Brianta. Gdyby nie interwencja Gordona, mogłyby z tego wyniknąć bardzo żałosne konsekwencje.

Gordon – ze wszystkich najstarszy i najbardziej opanowany – rozumiejąc, jak godny pożałowania byłby taki precedens, miał dość zdrowego rozsądku, by zainterweniować, stając po stronie Brianta.

– Dość! Dość! – powiedział. – Trochę cierpliwości, Doniphan! Sam widzisz, że morze jest jeszcze bardzo niespokojne i ryzykowalibyśmy utratą łódki!

– Nie chcę, żeby Briant nami rządził, jak to ma zwyczaj czynić od jakiegoś czasu! – wrzasnął Doniphan.

– My też nie chcemy...! Nie! – powtórzyli za nim Cross i Webb.

– Nie mam zamiaru nikim rządzić – odpowiedział Briant – ale nie pozwolę nikomu tego zrobić, jeśli chodzi o dobro wszystkich!

– Troszczymy się o to tak samo jak ty! – odciął się Doniphan. – A teraz, jak już jesteśmy na lądzie...

– Niestety jeszcze nie – przypomniał Gordon. – Nie upieraj się, Doniphan, i poczekajmy na dogodniejszy moment, by użyć łódki!

Gordon w bardzo dobrym momencie przyjął rolę rozjemcy w sporze Doniphana z Briantem – co mu się już zresztą wcześniej zdarzało – i wszyscy zgodzili się z jego zdaniem.

Do tej pory poziom wody obniżył się o dwie stopy. Czy pomiędzy rafami istniał jakiś kanał? Byłoby bardzo przydatne, aby to rozpoznać.

Briant pomyślał, że najlepiej zorientować się w położeniu skał, oglądając je z wysokości fokmasztu. Skierował się więc na dziób jachtu, pochwycił wanty sterburty¹ i wykorzystując siłę swoich rąk, wspiął się aż na saling².

¹ *Sterburta* – prawa (patrząc w stronę dziobu) burta statku.

² *Saling* – przy maszcie wieloczęściowym konstrukcja łącząca stengę (najniższy element masztu) z bramstengą (kolejny, wyższy element masztu).

Poprzez barierę podwodnych skał rysował się niewielki przesmyk, którego kierunek wyznaczały wierzchołki raf, wynurzające się z wody z każdej strony. Tej drogi należało się trzymać, jeżeli chcieli dotrzeć do brzegu, wykorzystując do tego jolkę. Jednak w tej chwili powierzchnia wody nadal była zbyt wzburzona w pobliżu sterczących skał, by można było z powodzeniem jej użyć. Gdyby fale cisnęły ją na ostre krawędzie raf, niechybnie natychmiast uległaby rozbiciu. Zresztą lepiej było poczekać, licząc na to, że morze cofnie się jeszcze i uczyni dostęp do lądu bardziej dogodnym.

Z wysokości salingu, na którym siadł okrakiem, Briant zaczął dokładniej zapoznawać się z wybrzeżem. Kierował lunetę wzdłuż piaszczystej plaży, a później przeniósł wzrok na podstawę skalistego klifu. Brzeg między dwoma przylądkami, oddalonymi od siebie o jakieś osiem do dziewięciu mil, wydawał się absolutnie niezamieszany.

Po półgodzinnej obserwacji Briant zszedł z masztu i przyszedł zdać swoim towarzyszom relację z tego, co zobaczył. Jeżeli Doniphan, Wilcox, Webb i Cross starali się wysłuchać go w milczeniu, to inaczej było z Gordonem, który zapytał:

– Czy kiedy „Sloughi” osiadł między skałami, nie było około szóstej rano?

– Tak – odparł Briant.

– A ile czasu potrzeba, aby woda osiągnęła swój najniższy poziom?

– Myślę, że około pięciu godzin. Czyż nie tak, Moko?

– Tak... pięć, sześć godzin – potwierdził chłopiec okrętowy.

– Zatem około jedenastej będzie najlepszy moment, by spróbować dotrzeć do brzegu...? – pytał dalej Gordon.

– Ja również tak obliczyłem – zgodził się Briant.

– Więc przygotujmy się na tę chwilę – mówił dalej Gordon – i zjedzmy coś. Jeżeli będziemy zmuszeni skoczyć do wody, to przynajmniej zrobimy to kilka godzin po posiłku.

Była to dobra rada, która naturalnie musiała pochodzić od tego rozważnego chłopca. Zajęto się więc najpierw spożyciem śniadania, na które złożyły się konserwy i suchary. Briant zwracał szczególną uwagę na malców. Jenkins, Iverson, Dole i Costar z beztróską właściwą ich wiekowi uspokoili się szybko i pewnie by się przejedli, gdyż, że tak powiem, nie dotknęli niczego od dwudziestu czterech godzin. Wszystko jednak poszło dobrze, a kilka kropli brandy¹ rozcieńczonej wodą znacznie wszystkich pokrzepiło.

Po śniadaniu Briant poszedł na dziób *schoonera* i tam, wspartszy się łokciami na nadburciu, zaczął obserwować rafy.

Jakże wolno obniżał się poziom wody! Jednak wyraźnie było widać, że woda opadała, zwiększał się bowiem przechył jachtu. Moko rzucił ołowiankę² i stwierdził, że nad dnem miałby znaleźć się jeszcze co najmniej osiem stóp wody. Czy istniała nadzieja, że odpływ będzie na tyle duży, by całkowicie odsłonił przejście i umożliwił przejście suchą nogą? Moko tak nie uważał i uznał, że musi powiedzieć o tym Briantowi w tajemnicy, żeby nikogo nie przestraszyć.

Briant poszedł wówczas porozmawiać o tym z Gordonem. Obaj dobrze rozumieli, że chociaż wiatr obrócił się nieco na północ, nadal przeszkadza morzu obniżyć się do takiego poziomu, jaki osiągnęłoby podczas ciszy.

– W którą stronę mamy się skierować? – zapytał Gordon.

– Nie wiem... Nie mam pojęcia! – odparł Briant. – Jakie to nieszczęście o czymś nie wiedzieć... Być tylko dzieckiem, kiedy powinno się być dorosłym człowiekiem!

¹ *Brandy* (ang. wypalanka) – angielskie określenie napojów alkoholowych destylowanych z win, głównie gronowych; pod tą nazwą na światowym rynku występuje zdecydowana większość winiaków.

² *Ołowianka* – ręczna sonda służąca do pomiaru głębokości wody, składająca się z ołowianego ciężarka i linki o długości do 20 m, oznakowanej zazwyczaj co metr.

– Potrzeba nas wszystkiego nauczyć! – stwierdził Gordon. – Nie traćmy nadziei, Briancie, i działajmy ostrożnie!

– Tak, Gordonie, działajmy! Jeżeli nie opuścimy „Sloughi” przed przyptywem, jeżeli jeszcze jedną noc będziemy musieli spędzić na statku, będziemy zgubieni...

– To jest nazbyt oczywiste, wówczas bowiem jacht zostanie roztrzaskany! Musimy go opuścić za wszelką cenę...

– Tak, Gordonie, za wszelką cenę!

– Czy nie powinniśmy zbudować czegoś w rodzaju tratwy, założyć podwójną linię transportową...?

– Myślałem już o tym – odparł Briant. – Na nieszczęście prawie wszystkie zapasowe drzewca zabrała nawałnica. Jeśli natomiast chodzi o zerwanie nadburci, by spróbować zrobić z tych kawałków tratwę, to nie mamy na to czasu! Pozostaje jedynie jolka, której nie możemy użyć ze względu na zbyt wzburzone morze! Nie! Jeśli możemy czegoś spróbować, to przeciągnąć linię poprzez barierę raf i przymocować jej drugi koniec do wierzchołka skały. Być może uda nam się wówczas podholować bliżej plaży...

– Kto przeniesie linię?

– Ja – odpowiedział Briant.

– Pomogę ci...! – powiedział Gordon.

– Nie, ja sam...! – zdecydował Briant.

– Posłużysz się jolką?

– Nie można ryzykować, gdyż moglibyśmy ją stracić. Lepiej zachować ją jako ostatni środek ratunku!

Jednak przed realizacją tego niebezpiecznego projektu Briant chciał podjąć użyteczny środek ostrożności, aby się zabezpieczyć przed wszelkimi ewentualnościami.

Na pokładzie znajdowało się kilka pasów ratunkowych, więc zobowiązał malców, by natychmiast je założyli. To na wypadek,

gdyby musieli szybko opuścić jacht, albo gdyby woda była jeszcze zbyt głęboka, by przejść po dnie – wówczas pasy utrzymałyby ich na powierzchni, a duzi próbowaliby popychać ich do brzegu, sami podciągając się na linie.

Był kwadrans po dziesiątej. Za czterdzieści pięć minut morze powinno opaść do najniższego poziomu. Pod dziobem „Sloughi” wody było jeszcze na cztery do pięciu stóp, ale nie wydawało się, by miała opaść jeszcze więcej niż o kilka cali¹. Było wyraźnie widać, że około sześćdziesięciu jardów² od brzegu dno gwałtownie się wynurzało, co dało się rozpoznać po ciemniejszej barwie wody i licznych wierzchołkach raf wynurzających się wzdłuż brzegu. Podstawową trudność stanowiło pokonanie morskiej głębi rozciągającej się przed dziobem jachtu. Jednakże gdyby Briantowi udało się przeciągnąć linę w tym kierunku i mocno ją przytwierdzić do jednej ze skał, jej naciągnięcie z pokładu za pomocą kabestanu pozwoliłoby dojść do miejsca, gdzie było wyraźnie płycej. Ponadto, przesuwając po tej linie pakiety z żywnością i niezbędnym sprzętem, można by je przetransportować na ląd bez uszkodzeń.

Briant nie chciał pozwolić nikomu na tę niebezpieczną próbę, wolał sam podjąć ryzyko i jego konsekwencje.

Na pokładzie znajdowało się mnóstwo lin o długości stu stóp, używanych jako cumy³ lub liny holownicze. Briant wybrał spośród nich jedną, średniej grubości, która wydała mu się najbardziej odpowiednia, i rozebrawszy się, przewiązał się jednym jej końcem w pasie.

– Chodźmy, wszyscy! – zawołał Gordon. – Będziecie rozwijać linę...! Idziemy na dziób!

¹ *Cal* – jednostka długości, równa w przybliżeniu 25,4 mm.

² *Jard* – jednostka długości używana w krajach anglosaskich, równa 0,9144 m.

³ *Cuma* – lina służąca do umocowania statku przy nabrzeżu.

Doniphan, Wilcox, Cross i Webb nie mogli odmówić udziału w tym przedsięwzięciu, którego znaczenie świetnie rozumieli. Cokolwiek więc myśleli, zabrali się do rozwijania zwoju liny, którą należało popuszczać powoli, by oszczędzać siły Brianta.

W momencie, kiedy chłopiec miał skoczyć do wody, podbiegł jego brat, wołając:

– Braciszku...! braciszku...!

– Nie bój się, Jacques! Nie bój się o mnie! – odpowiedział Briant.

Chwilę później widać go było płynącego mocno po wzburzonej powierzchni wody, podczas gdy lina sunęła za nim.

Nawet przy spokojnym morzu ten manewr byłby trudny, ponieważ kipiela uderzała gwałtownie w długi łańcuch skał. Prądy i przeciwprądy przeszkadzały śmiałemu chłopcu płynąć w prostej linii, a kiedy go porywały, miał dużo kłopotu, by się z nich wydostać.

Mimo to zbliżał się powoli do brzegu, podczas gdy jego towarzysze stopniowo popuszczali linę. Widać było jednak, że siły zaczynają go opuszczać, choć nie odpłynął dalej niż pięćdziesiąt stóp od *schoonera*. Przed nim znajdował się rodzaj wiru, powstałego w wyniku spotkania dwóch przeciwstawnych fal. Gdyby udało mu się go ominąć, być może zdołałby osiągnąć cel, ponieważ dalej morze było spokojniejsze. Starał się więc z niesamowitym wysiłkiem opłynąć wir z lewej strony, lecz ta próba okazała się bezowocna. Nawet doskonały pływak w sile wieku nie dałby temu rady. Pochwycony przez splątane wody, Briant nieodparcie wciągany był ku środkowi wiru.

Zanim zniknął pod wodą, znalazł jeszcze tyle sił, by głośno krzyknąć:

– Ratunku...! Ciągniecie...? Ciągnijcie!

Na pokładzie jachtu zapanowało bezgraniczne przerażenie.



Pochwycony przez splątane wody,
Briant nieodparcie wciągany był ku środkowi wiru.

– Ciągnijcie! – zakomenderował spokojnie Gordon.

Jego towarzysze pospiesznie zwijali linę, by wyciągnąć Brianta na pokład „Sloughi”, zanim się udusi po zbyt długim przebywaniu pod wodą.

Po niecałej minucie Brian został wciągnięty na pokład. Co prawda był nieprzytomny, ale szybko odzyskał świadomość w ramionach swego brata.

Próba mająca na celu przeciągnięcie liny przez barierę raf się nie powiodła. Nikt nie mógł ponownie spróbować z jakimiś widokami na powodzenie. Czyżby nieszczęsne dzieci zmuszone były czekać...? Czekać na co? Na pomoc? Z jakiej strony i kto miałby przyjść im z pomocą?

Było już po południu. Dawał się odczuć przypływ i zwiększał się zasięg kipieli. Fale były nawet silniejsze niż poprzedniego dnia, ponieważ księżyc był w nowiu. Gdyby na domiar złego wiatr zaczął wiać od pełnego morza, *schoonerowi* groziłoby podniesienie się ze skalnego łóża... Na nowo uniósłby się na fali i zostałby rzucony na sterczące rafy...! Nikt nie przeżyłby takiej katastrofy! Na to nie byłoby żadnej rady! Żadnej!

Wszyscy zgromadzeni na rufie, młodszy otoczeni przez starszych, patrzyli na morze, które się nadymało, o czym świadczyło znikanie jednego po drugim wierzchołków skał. Na nieszczęście wiatr znów zaczął wiać od zachodu i podobnie jak poprzedniej nocy niczym bat smagał ziemię. Im bardziej wzrastała głębokość wody, tym wyższe fale pokrywały „Sloughi” swymi bryzgami i wkrótce miały się rozbijać o jego kadłub. Jedynie sam Bóg mógł przyjść z pomocą młodym rozbitkom. Ich modlitwy mieszały się z rozpaczliwymi krzykami.

Nieco przed drugą po południu *schooner*, wyprostowany przez przypływ, nie przechylał się już na bakburtę, ale na skutek wzdłużnego kołysania uderzał dziobem o dno, podczas gdy

koniec jego tylnicy¹ pozostawał jeszcze wciśnięty w skalne łoże. Wkrótce zaczęły następować bezustanne uderzenia o spód kadłuba, a „Sloughi” rzucało z boku na bok. Dzieci musiały trzymać się jedno drugiego, by kogoś nie wyrzuciło za burtę.

W takiej oto chwili zauważyli wielką, spienioną górę wody, która wznosiła się na oceanie, około dwóch kabli² od jachtu. Można by powiedzieć: olbrzymi bałwan albo ogromna skacząca fala, której wysokość przekraczała dwadzieścia stóp. Zaatakowała z furią rwącego strumienia, przykrywając natychmiast barierę raf, podniosła „Sloughi”, pociągnęła go ponad skałami, tak że kadłub nawet nie zadrasnął o skały.

W niespełną minutę, pośród wrzącej masy wody, „Sloughi” został przeniesiony na środek plaży, gdzie oparł się o wydmnę około dwustu stóp od pierwszej grupy drzew rosnących u podnóża falezy. Tam znieruchomiał – tym razem na stałym lądzie – podczas gdy ocean, cofając się, pozostawiał za sobą odsłonięty piasek.



¹ *Tylnica* (stewa tylna) – element konstrukcyjny statku łączący jego obie burty i będący przedłużeniem kilu w części rufowej statku.

² *Kabel* – jednostka długości używana w żegludze morskiej, równa 1/10 mili morskiej, czyli 185,2 m.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!